

Jaka szkoła dla dziecka z autyzmem?

czwartek, 01 kwietnia 2010 16:43

Cykl artykułów dedykowany młodziutkim rodzicom, stojącym przed wyborem szkoły dla swojego autystycznego dziecka. (LB)

Jestem matką 11-letniego chłopca z autyzmem. Przeszliśmy już pobyt w żłobku, przedszkole integracyjne i masowe. Aktualnie syn uczy się w szkole integracyjnej. O doświadczeniach z tym związanych chciałabym napisać.

W wieku 7 lat Łukasz przeszedł intensywny program edukacyjny ABA. Dzięki temu jego rozwój intelektualny określono jako mieszczący się w granicach normy dla wieku. Dziś nie wiem czy to dobrze. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak ważny dla oceny ucznia i wymagań stawianych mu przez szkołę, jest stopień upośledzenia lub jego brak. Rodzice myślą, że jeśli dziecko nie umie pisać liter, to będzie tego uczone w trybie dostosowanym do jego możliwości. Nic bardziej mylnego. Robi to, co jest określone dla danego poziomu intelektualnego.

Praktycznie zalecenia "nauczania programem specjalnym dla dzieci z autyzmem" nie są uwzględniane przez nauczycieli, bo oni nie wiedzą co to znaczy. Nie mają pojęcia o autyzmie i nie przychodzi im do głowy, że można poczytać na ten temat.

Nauczyciele, tak jak ludzie, są różni - jedni dobrzy, inni nie. W klasach I - III mojego syna przewinęło się ich 7. Większość z nich nawet nie zajrzała do ww. orzeczenia. W moim mieście jest dobra szkoła integracyjna, ale mimo to, nie wyobrażam sobie, aby syn mógł samodzielnie brać udział w lekcjach. Łukasz jest dzieckiem mówiącym, ale choroba go bardzo ogranicza. Ponieważ panie nauczycielki nie zgodziły się, abym siedziała w klasie na lekcjach - siedziałam pod nią. Dzięki temu, gdy nauczycielka wspomagająca ciężko zachorowała, pozwolono mi na uczestnictwo w zajęciach, dopóki nie znajdą zastępstwa. I tak okazało się, że dziecko które samodzielnie nie potrafiło otworzyć zeszytu, podczas opowiadania bajek wchodziło pod stół i mówiło do siebie niezrozumiałym językiem - potrafi świetnie czytać, pisać i liczyć. Znając swoje dziecko potrafiłam, gdy trzeba było, maksymalnie zmotywować go do nauki. Tłumaczyłam pani i dzieciom jego dziwne zachowanie, słowa i rytuały. Bilans jest taki, że Łukasz mimo, iż nie potrafi podtrzymywać rozmowy, skończył z wyróżnieniem klasy I - III i jest zapraszany na wszystkie klasowe urodziny. Dzieci bardzo go lubią, a przecież nie zawsze tak jest. Prawdę mówiąc - prawie nigdy. W młodszych klasach, przy odpowiednim zaangażowaniu pedagogów - jakoś bywa, dzieci zdrowe starają się opiekować chorymi, ale później ich drogi rozmiągają się.

Podsumowując - nie wyobrażam sobie nawet dobrze funkcjonującego autysty samego w szkole. Szkoła to dżungla pod każdym względem. Dzieci z różnych środowisk, nieprzygotowani i zestresowani nauczyciele, i ten wieczny wyścig testów (czyt. szczurów). Łukasz w obecności 2 nauczycielek i piętnaściorga dzieci potrafił niezauważony wyjść w trakcie lekcji ze szkoły (siedziałam w tym czasie w aucie pod szkołą - można się domyślić co przeżyłam, gdy go zobaczyłam). Wiem, że nie każdy może chodzić ze swoim dzieckiem do szkoły. Nawet nie polecam tego na dłuższą metę, ze względów psychicznych. Najlepiej zdobyć asystenta. Ja znalazłam rozwiązanie w postaci specjalistycznych usług opiekuńczych z MOPS. Po długich staraniach dostałam 70 godzin miesięcznie. Pani asystent jest pedagogiem i logopedą. To prawdziwy luksus. Moje dziecko jest zadbane, a ja odżywam.

Iwona Kasza, Rydułtowy, tel. 032 457-6668

Jestem matką 12-letniego chłopca autystycznego. Gdy miał osiem lat i musiał podjąć naukę w klasie pierwszej, jak każdy rodzic miałam dylemat, do jakiej szkoły go zapisać.

Tak się złożyło, że w tym czasie Damian był dość intensywnie prowadzony terapią behawioralną. Oczywiście było dla mnie, więc, że klasa integracyjna w szkole masowej będzie dla niego idealna. Niestety okazało się, że na terenie Dąbrowy Górniczej nie ma żadnej klasy integracyjnej, a w innych gminach nie ma wolnych miejsc.

Damian zaczął uczęszczać do szkoły specjalnej w Sosnowcu, gdzie spotkałam się z brakiem zrozumienia wychowawcy i dyrekcji dla moich metod pracy z synem. W pewnym momencie byłam nawet zmuszona siedzieć w klasie, bo nauczyciel sobie nie radził. Nie polecam tego nikomu, gdyż ma to zły wpływ zarówno na matkę, jak i na dziecko.

W drugiej klasie podjęłam decyzję i przenieśliśmy syna do szkoły specjalnej u nas, w Dąbrowie. Bałam się jak wpłyną na niego te zmiany, ale wiedziałam, że w tamtej szkole nic dobrego nas już nie spotka.

Mój syn chodzi już czwarty rok do tej samej szkoły i mimo, że był kilka razy narażony na zmianę klasy lub nauczyciela, to jakoś przez to przebrnął.

Najtrudniejszy jest dla niego ten rok tzn. czwarta klasa. Przechodzenie do różnych sal lekcyjnych i ciągle zmieniający się nauczyciele, a także materiał, który musi opanować, budzi u niego frustracje. Jeśli chodzi o naukę konkretnych przedmiotów, to program przyrody i historii nie jest dostosowany do możliwości dziecka autystycznego. Największy problem stanowią lekcje jęz. niemieckiego, które odbywają się dopiero na 7 godzinie lekcyjnej. Damian na tych lekcjach prezentuje cały repertuar zachowań, tj. śmiech, szczekanie, dotykanie i wychodzenie z ławki.

Najgorsze jest to, że w szkole Damiana przywiązuje się dużą wagę do realizacji programu, a nie do korekcji zachowania czy do treningu samoobsługi, jak np. mycie rąk. Wychodzi to w domu, ponieważ syn nie wykonuje pewnych czynności prawidłowo.

Jestem przekonana, że zarówno te dobre jak i te złe doświadczenia ze szkołą i nauczycielami czegoś mnie nauczyły. Wiem już, że nazwa szkoły nie jest ważna tylko osoby, które w niej pracują i ich zrozumienie dla potrzeb dzieci i wymagań rodziców. Myślę, że każda z nas ma szansę prędzej czy później spotkać takie osoby na swojej drodze, trzeba tylko w to mocno wierzyć.

Małgosia Głowacka, Dąbrowa Górnicza

Parę lat wstecz, gdy zdaliśmy sobie sprawę, że z Mateuszem jest „coś nie tak”, że nie rozwija się tak jak inne dzieci, i kiedy wiedzieliśmy już, że jest dzieckiem niepełnosprawnym, które prawdopodobnie nigdy nie będzie mówiło i zachowywało się tak jak inne dzieci, i że prawdopodobnie będzie całe życie uzależnione od innych osób, ktoś zadał nam pytanie:

„czy uważacie, że Mateusz mógłby być szczęśliwy?”

To pytanie zasiało w nas niepokój. Za wszelką cenę zaczęliśmy wówczas doszukiwać się u Mateusza oznak szczęścia. Zastanawialiśmy się czy to, że się śmieje, że biega w kółko, że ma zaspokojone wszystkie zachcianki i potrzeby, to że wszyscy bliscy bardzo go kochają i drżą o jego przyszłość sprawia, że jest szczęśliwy?

Kilka miesięcy po pamiętnej rozmowie, trafiliśmy z Mateuszem do psychiatry. Jak większość rodziców, jechaliśmy tam z wielkimi nadziejami, marząc o pewnej receptce na cudowne wyzdrowienie. Lekarz obserwował go długi i wnikliwie, a gdy już zbieraliśmy się do wyjścia, powiedział nam tylko tyle - pamiętajcie, niezależnie od wszystkiego, uczenie go dobrych manier.

W pierwszej chwili byliśmy bardzo zawiedzeni. Tyle zachodu, fatygi i tylko to...?

Żadnej rady, recepty, słowa otuchy?

I dopiero po pewnym czasie wróciliśmy pamięcią do tej sytuacji. Uzmysłowiliśmy sobie, że przecież dostaliśmy receptę na szczęście, ale w ogóle z niej nie korzystamy.

To był kubeł zimnej wody.

Przewartościowaliśmy wówczas swoje życie; cele, marzenia i ambicje.

Diametralnie zmieniliśmy swoje postępowanie względem Mateusza.

Przestaliśmy na siłę wpajać mu cyfry, uczyć i zaprzętać głowę wiedzą, której nigdy nie wykorzysta i nie będzie mu w życiu potrzebna. Wiedzieliśmy, że nigdy nie zdobędzie wielkich tytułów, nie podejmie pracy zarobkowej i nigdy nie będzie w stanie sam się utrzymać.

Dlatego właśnie postanowiliśmy nauczyć go tego wszystkiego, co w życiu jest niezbędne i co przyniesie prawdziwe szczęście. Dać mu to, co mają i poznają wszystkie zdrowe dzieci.

Przede wszystkim postawiliśmy na to, aby umiał ładnie jeść sztuccami, ubrać się, zrobić sobie jeść, posprzątać po sobie, pościelić łóżko, umyć się itp. Staraliśmy nauczyć go tego, że auto jadące po ulicy potrafi zabić, że gotujący się na gazie czajnik parzy, że będąc nieuważnym można zrobić sobie krzywdę itd.

Jeszcze częściej zaczęliśmy wychodzić z nim w miejsca publiczne (kościół, kino, hipermarkety, imprezy okazjonalne). Nauczyliśmy go pływać, jeździć na rowerze, podążać górskimi szlakami.

Przestaliśmy nazywać jego zaburzenia i niedoskonałości mądrymi, naukowymi określeniami, bo to i tak niczego nie zmieniało - w dalszym ciągu były i trzeba było z nimi walczyć.

Postanowiliśmy nauczyć Mateusza jak należy się zachowywać w tramwaju, autobusie, kawiarni, tylko po to aby społeczeństwo go akceptowało, a nie wytykało palcami. Po to, aby Mateusz wiedział co zrobić, kiedy koledzy z podwórka zawołają „cześć Mati” i w geście sympatii wyciągną rękę na powitanie.

Nigdy też nie mieliśmy cienia wątpliwości, co do wyboru szkoły. Nie mieliśmy wygórowanych ambicji i aspiracji, aby posłać Mateusza do szkoły masowej. Wiedzieliśmy, że tam nie uzyska tej wiedzy, która w życiu będzie mu potrzebna. My wybraliśmy szkołę specjalną i jesteśmy szczęśliwi, bo Mateusz uczony jest tam tego, co dla niego najważniejsze – samoobsługi, właściwego zachowania i dobrych manier.

Patrząc wstecz (Mateusz ma teraz 13 lat), śmiało możemy stwierdzić, że dużo rzeczy udało się nam zrobić, wielu nauczyć. Doskonale zdajemy sobie sprawę, że przed nami jeszcze długa i wyboista droga. Wiemy, że Mateusz przez całe życie będzie uczył się tego, co jego zdrowym rówieśnikom przychodzi z łatwością, i że zawsze będzie musiał mieć przy sobie drugą osobę, która wskaże mu, co jest dobre a co złe.

Monika i Marek Sokołowscy, Ruda Śląska